(PAT) POLSKA AGENCJA TELEGRAFICZNA
(OFICJALNA POLSKA AGENCJA PRASOWA)
50 ROCKEFELLER PLAZA, NEW YORK 20, N. Y.
BIULETYN POLSKI

Nr. 48/444 24 sierpnia 1944

MATERIAŁ SPECJALNY NA ROCZNICE WYBUCHU WOJNY

OSTATNIA MISJA Z BERLINA

Niedawno, przeglądając teczkę z papierami, znalazłem mój przedwojenny paszport. Na ostatniej stronie, zapełnionej pieczątkami i zapiskami przeróżnych urzędów granicznych bodaj całej Europy, odnalazłem dwie adnotacje niemieckiego urzędu celnego w Wierzebaum na granicy polsko-niemieckiej. Pierwsza, odbita przy pomocy normalnej pieczątki, stwierdza moj wyjazd z Niemiec dn. 31 sierpnia 1939 r.; druga bardziej lakoniczna: "Eingereist am 31 August 1939", wypisana jest ręcznie, atramentem. Umieszczona była o godz. 8 wieczorem: snac urzędnik niemiecki odesłał już był normalną pieczęć jako zbędną. Przypomniało mi to wypadki z przed czterech lat, w ktorych brałem udział.

Rok 1939 rozpoczął się w Niemczech pod znakiem mnożących się oznak nadciągającego konfliktu zbrojnego. W lutym tego roku, na tajnej naradzie, odbytej przez Hitlera z czołowymi przedstawicielami generalicji i partji, zapadły decyzje zmieniające zasadniczo dotychczasowe linie polityki niemieckiej. Z płaszczyzny "zbierania" terytoriów, pod hasłem łączenia się mniejszosci niemieckich z macierzą przeszła Rzesza na politykę rozpierania się łokciami, na politykę zdobywania "Lebensraum'u" na Wschodzie. Ze zręcznej prowadzonej gry dyplomatycznej, popartej, w razie potrzeby, groźby użycia siły, przeszły Niemcy do fazy zajmowania siłą pozycyj wyjsciowych dla akcji zbrojnej, mającej zapewnić im panowanie w Europię. I Niemcy postanowiły się śpieszyć, by wyzyskac przewagę w gotowości bojowej nad przeciwnikami, ktorzy zaczynają się dopiero zbroić. W krotkich odstępach czasu zajęto Pragę, Słowaczyznę, Klajpedę. Zbrojnie okrążano Polskę.

Na tle tej groźnej sytuacji zaszedł w stosunkach politycznych Europy fakt, ktory, gdyby nastąpił o parę lat wczesniej, byłby ochronił Europę od pozniejszych nieszczęsc. Faktem tym było parafowanie polsko-angielskiego układu gwarancyjnego. W kwietniu 1939 r. układ ten nie mogł już przywrocić rownowagi politycznej i zapewnić pokoju, jednak że - co było dla Polski rzeczą kapitalnej wagi - stwarzał znów niejaką rownowagę szans na wypadek konfliktu orężnego. Układ bowiem usuwał możliwosć konfliktu zbrojnego, w ktorymby Polska była pozostawiona sama sobie, w beznadziejnem tete a tete z Niemcami, a przesądzał w razie napadu Niemiec na Polskę, o wojnie koalicyjnej, ktorej końcowy wynik, mimo pierwszych niebezpieczenstw, nie mogł budzić wątpliwości. Pozatem, układ z Wielką Brytanią dawał rękojmię, że Francja nie uchyli się od wypełnienia swych obowiązków sojuszniczych wobec Polski. Tak się też stało.

Układ polsko-brytyjski wywołał w niemieckich kołach rządzacych duże niezadowolenie. W stosunkach polsko-niemieckich doszło do poważnego zadraznienia. Hitler, nie mogąc wykręcić się z jasnych postanowień 10-letniego paktu polsko-niemieckiego z r. 1934, zerwał go na posiedzeniu Reichstagu w sposob rownie teatralny jak bezprawny. Mimo jednak zewnętrznych oznak pogorszenia, w stosunkach polsko-niemieckich nastąpiła narazie pewna stabilizacja. Układ Polski z Wielką Brytanią osadził Rzeszą w zapędach. W Niemczech zapanowało kłopotliwe milczenie. Spokój ten był jednak pozorny: Rzesza szukała sposobów realizacji swych dalekoidących celow, nie przebierając w sposobach.

I sposob się znalazł: pakt niemiecko-sowiecki. Ogłoszenie tego tajnie znegocjowanego paktu, poprzedziło starannie wyreżyserowane, stopniowe zadraznienie stosunków z Polską, przy pomocy kampanii prasowej, drobnych incydentow granicznych i wszystkich sposobów wojny nerwow, włącznie z rozpuszczeniem okrężnemi drogami wiadomosci o coraz to nowych terminach napadu na Polskę. Z chwilą ogłoszenia paktu z dnia 23 sierpnia, temperatura stosunkow polsko-niemieckich skoczyła z miejsca do

punktu wrzenia. Niemcy nie ukrywali, że zamierzają napaść na Polskę; czuli się pewni siebie, łudząc się, że Zachód, w zmienionych paktem sowieckim warunkach, nie ruszy Polsce z pomocą. Terminem napadu miał być 26 sierpnia. Lecz termin ten opóźniono. Moskwa, która miała ratyfikować pakt przed tą datą, ratyfikację z nieznanych nam powodów odsunęła. Na tę zwłokę nastąpiła ze strony Niemiec natychmiastowa reakcja. Prasa nałożyła tłumik na swe antypolskie wystąpienie, a Hitler zaproponował Wielkiej Brytanii sojusz, pod warunkiem pozostawienia Rzeszy wolnej ręki wobec Polski i na wschodzie Europy. Propozycja ta była ze strony Hitlera posunięciem czysto taktycznem. Wiedział dobrze, że Wielka Brytania dotrzyma słowa danego Polsce i że na takie warunki się nie zgodzi; nie szło mu więc o przyjęcie propozycji, lecz o oddźwięk na Wschodzie. I Wschód go widać nie zawiódł, gdyż już po dwóch dniach sztucznie wywołane incydenty graniczne zaczęły się ponownie mnożyć, a prasa niemiecka biła znów na alarm w obronie życia i mienia mniejszości niemieckiej w Polsce.

Tak wyglądała sytuacja w Berlinie w wigilię wojny.

W nocy z dnia 30 na 31 sierpnia telefon wzywa mnie do ambasady a że mieszkam niedaleko, więc wkrótce jestem na miejscu. Dowiaduję się od ambasadora Lipskiego, że tylko co byli u niego ambasadorowie angielski i francuski, by podzielić się ostatniemi wiadomościami. Nie ulega wątpliwości, że niemiecka maszyna wojenna jest gotowa i żeby ruszyć, czeka tylko na naciśnięcie guzika, co nastąpić może każdej chwili. Hitler miał się wyrazić, że ze sprawą polską załatwi się szybko. Decyzja wojenna jest już powzięta. W naturze niemieckiej leży jednak chęć stworzenia sobie alibi, choćby najbardziej sztucznego, i przerzucenia odpowiedzialności na stronę przeciwną. Tak i teraz, w związku z wysiłkami czynionemi przez rząd brytyjski, by doprowadzić do rozmów polsko-niemieckich, Niemcy zaznaczają wobec przedstawicieli państw zachodnich, że gotowe są z Polską szukać pokojowego załatwienia spraw, że Polska uchyla się od wszelkich rozmów. Wobec tej gry niemieckiej byłoby wskazane, żeby rząd polski stwierdził, iż nie uchyla się od rokowań.

W świetle tych wiadomości było rzeczą pierwszorzędnej wagi, by rząd polski możliwie szybko i dokładnie poinformować o sytuacji. Porozumienie się z Warszawą natrafiało już wtedy na duże trudności. Komunikacja telegraficzna, telefoniczna, kolejowa i lotnicza była przerwana. Mogliśmy korzystać z iskrówki, ale nie zawsze dało się tą drogą skomunikować. Pozostawała jedna możliwość: próba dojechania samochodem. Będąc w posiadaniu szybkiego wozu sportowego i znając dokładnie drogę Berlin - Poznań mogłem, w normalnych warunkach, dojechać do Poznania w ciągu paru godzin. Stamtąd przelot samolotem do Warszawy i z powrotem nie powinien nastręczać zbyt dużych trudności. W każdym razie warto spróbować. Zdecydowałem się wyjechać o świcie. Gdy wspomniałem o tem w domu, żona postanowiła towarzyszyć mi do Poznania, wychodząc z założenia, że w istniejącej sytuacji lepiej się nie rozłączać.

Wyruszamy więc razem wczesnym rankiem. Szybko wydostajemy się przez śpiący jeszcze Berlin na szosę frankfurcką. Wstaje ładny dzień letni. Spokój w przyrodzie dziwnie odbija od gorączkowych nastrojów berlińskich. Przydrożne wsie i miasteczka puste, żadnych oznak przygotowań wojennych, żadnych ogłoszeń; mimo że ludzie już wstali, na lekarstwo nie widać munduru. Mobilizację systemem kart imiennych, tajnie dawno już tu przeprowadzono. Nic nie wskazuje na zbliżające się wypadki. Dojeżdżamy do mostów na Odrze w Kustrzyniu. Już od szeregu miesięcy stała tam artyleria przeciwlotnicza. Dziś mimo rannej pory, obsługa przy działach w hełmach, w pełnem pogotowiu bojowem. Później znów nic szczególnego, dopiero nad samą granicą oddział w polu w rozwiniętym szyku, z artylerją. Szosa na ostatnich kilometrach podminowana. Na granicy, przy szlabanie, żołnierze niemieccy ustawiają kozły na drodze i zamykają ją drutem kolczastym. Z urzędu celnego wychodzi znany mi niemiecki urzędnik celny i patrzy z zakłopotaniem na mój paszport i papiery samochodowe. Zna je zresztą napamięć. Po chwili podchodzi porucznik niemiecki i po krótkiej rozmowie z celnikiem każe żołnierzom usunąć kozły z drutami kolczastemi. Szlaban podnosi się. Ruszamy w kierunku na Poznań, do lotniska wojskowego w Ławicy.

Przed lotniskiem przeszkoda: samochód mój, marki niemieckiej, z berlińskim numerem policyjnym, budzi duże podejrzenie u dyżurnego żandarma. Dopiero po dokładnem wylegitymowaniu się uzyskuję otwarcie bramy wjazdowej i odprowadzenie mnie do dowództwa pułku. Tutaj wyjaśniam, że muszę być jak najprędzej w Warszawie i z powrotem, i proszę o samolot. Uczynny adjutant pułku obiecuje zrobić co będzie mógł.

Tłumaczy się jednak, że na lotnisku ma tylko parę niezbyt nowych maszyn treningowych, na których ćwiczą się właśnie lotnicy-rezerwiści. Nic nie szkodzi, byleby taki aparat doleciał do Warszawy i odstawił mnie z powrotem do Poznania w takim czasie, bym mógł wjechać do Niemiec na godz. 8 wiecz., t. j. przed normalną godziną zamknięcia granicy dla ruchu kołowego. Ostatecznie, z rozkazu dowódcy pułku mam dostać samolot RWD. Przed lotem wymaga on jeszcze pewnego przygotowania. Pozatem trzeba wybrać pilota spośród rezerwistów. Wszystko to zabiera sporo czasu, który jakoś szybko leci. Wreszcie aparat gotów, plutonowy-pilot o sympatycznym wyglądzie melduje, że wszystko w porządku i że można startować. Wkładam kombinezon lotniczy i wdrapuję się na siedzenie za pilotem. Adjutant pułku przynosi mi jeszcze spadochron. pouczając, abym nie skakał póki nie otrzymam polecenia pilota. Spoglądam na skomplikowane rzemienie i sznury spadochronu i bez wahania obiecuję, że napewno samorzutnie skakać nie będę. Lecimy wzdłuż linii kolejowej Poznań-Warszawa. W powietrzu spokój, na ziemi dosyć duży ruch; zwłaszcza w miastach powiatowych widać długie szeregi furmanek i podwód wiozących rezerwistów. Rozwijamy małą szybkość, mimo że motor RWD warczy ile sił. Wreszcie zdala Warszawa i lotnisko mokotowskie. Zbliża się południe.

Spieszę na Wierzbową. Pytam o położenie - bez zmian. Pakt sowiecko-niemiecki wciąż nie ratyfikowany; według wiadomości z Moskwy data ratyfikacji wciąż niesprecyzowana. Po odbyciu szeregu rozmów, otrzymałem od ministra spraw zagranicznych instrukcję dla ambasadora naszego w Berlinie, którą streścić można jak następuje: zgoda na rozpoczęcie rozmów pod warunkiem, że będą to rozmowy, a nie dyktat lub ultimatum, i że w czasie trwania rozmów nie będzie coup d'etat w Gdańsku. Ponieważ z instrukcją tą nie mogłem być w Berlinię przed nocą, została ona naszemu ambasadorowi w Berlinie przesłana również w drodze iskrowej.

Na lotnisku w Mokotowie mam niejaką trudność z odnalezieniem mego samolotu. Sporo tam maszyn, wszystko treningowe RWD lub PZL. Startujemy w drogę powrotną. Opuszczając Mokotów odwracam się, by rzucić okiem na Warszawę: przeczuwam, że tak rychło jej nie zobaczę. Warszawa tonie w oparach; od północy, zachodu i południa zwisają nad nią ciężkie chmury. Pogoda się psuję, zaczyna mżyć, widoczność maleje, wiatr przeciwny hamuje szybkość. Pilot dla skrócenia drogi wziął kurs na kompas. Po pewnym czasie zachmurzenie maleje. Lecimy nad nieznaną mi okolicę. Czas mija, powinniśmy już być niedaleko celu, a tu Poznania wciąż ani śladu. Widzę, że pilot zagląda do mapy. Po pewnym czasie pod nami dwutorowa linia kolejowa. Nie może to być linia Warszawa-Poznań, gdyż jest jednotorowa. Dwutorowa jest natomiast linia Warszawa-Toruń. Coś jest nie w porządku. Pilot coraz bardziej nachyla się nad mapą. Wreszcie, widząc przy torze mały budynek stacyjny, obniża lot i stara się odczytać nazwę stacji. Bezskutecznie. Nie możemy niczego odcyfrować. Z trudem omijamy druty telegraficzne. Niema rady, trzeba dalej lecieć wzdłuż toru, który, jeśli to linia Warszawa-Toruń, prowadzi nas, skoro lecimy na prawo od toru, wprost na Prusy Wschodnie. A ponieważ rano mogłem się przekonać, że obsługa przy działach przeciwlotniczych w Niemczech czuwa, więc gorące przyjęcie zapewnione. Pozatem możliwe lądowanie w Toruniu przekreśliłoby cały plan dojechania jeszcze tej nocy do Berlina. Staram się porozumieć z pilotem, co z powodu pędu powietrza i huku motoru nie udaje się. Próbuję porozumienia na migi; pilot rozkłada ręce i dalej szuka czegoś na mapie. Zaczyna się ściemniać. Nagle pod nami spory most kolejowy i rzeka. Lecz rzeka jest piaszczysta, płytko rozlana. To nie może być Wisła pod Toruniem. Po chwili pilot kiwa do mnie ręką na znak, że wszystko w porządku. Odnalazł pozycję na mapie. Rzeka jest Wartą na południe od Poznania, a tor linia Katowice-Poznań. Po kwadransie lotu pod nami Poznań z wieżą ratuszową i kościołem św. Wojciecha. Po chwili lądujemy o zapadającym zmroku na lotnisku, gdzie nas niespokojnie oczekiwano. Spoglądam na zegarek: godz. 7.5. O godz. 8 granica będzie zamknięta, a tu blisko 90 km. drogi. Samochód stoi w pogotowiu, ale trzeba dolać benzyny. Dostaję benzyny lotniczej.

Ruszamy czemprędzej. Niemiecki samochód na służbie polskiej daje z siebie co może, lecz droga nie nadaje się do szybkiej jazdy, a nadomiar napotykamy miejscami mgłę. Jednak odległość od granicy szybko maleje. Wtem nieprzewidziane opóźnienie: patrol polski, widząc pędzący ku granicy samochód, zatrzymuje nas. Wylegitymowanie się zabiera nam kilku minut czasu. A powtarza się to jeszcze ze dwą razy. Nareszcie aleja topolowa niedaleko granicy, jeszcze jedno wzgórze i rogatki graniczne Gorzycko-Wierzebaum. Polski urzędnik celny szykuje się już do zamknięcia biura na noc; przy samej rogatce stoi polska tankietka. Prędko szlaban do góry i zajeżdżamy przed szlaban niemiecki. Na zegarze godz. 7.58. Daję sygnał klaksonem. Zjawia się urzędnik celny, a przydrożnych rowów wychylają się głowy niemieckich żołnierzy. Celnik

patrzy na mnie zdziwiony i pyta, raczej niepotrzebnie, czy chcę wjechać do Niemiec. Tak, przecież dopiero dochodzi godz. 8. "Ale panstwo wyjeżdżali dziś zrana z Niemiec, a teraz wracają?" Tak jest Celnik stoi bezradny wobec zastawionej drutem kolczastym drogi. Wreszcie zjawia się oficer niemiecki, ktory, jak rano, każe żołnierzom usunąc druty. Sądzę, że robił to raczej niechętnie, lecz był własciwie w przymusowem położeniu, gdyż nieprzepuszczenie mnie przez granicę rownałoby się daniu sygnału alarmowego na parę godzin przed atakiem. Byłbym niezwłocznie z najbliższego telefonu dał znac o tem Warszawie.

Kilkanaście kilometrów za granicą zatrzymuje nas żandarm wojskowy, odziany w maskującą go pelerynę gumową. Podchodzi do nas. Podaję mu legitymację dyplomatyczną, wystawioną przez berlinski Auswartiges Amt. Zna on te czerwone dokumenty dobrze. Gdy jednak, po przeczytaniu nazwiska, zorjentował się, kto siedzi przy kierownicy w samochodzie o tej nocnej porze, drgnął w sposob widoczny, bez najmniejszego słowa oddał legitymację i znikł, jak cien, w przydrożnym rowie. Dopiero póżniej zrozumiałem, co musiało się dziac w głowie służbistego żandarma, który wiedział zapewne, że za parę godzin nastąpi atak na Polskę. Kazano mu stac pociemku i pilnie baczyć, aby postronne osoby nie kręciły się w strefie granicznej, a już, broń Boże, żeby żaden Polak tam się nie pojawił. A tu od strony granicy, jakby nigdy nic, nadjeżdża samochodem radca ambasady tegoż własnie panstwa, na które przygotowuje się tej nocy napad. I pokazuje w dodatku legitymację, zaopatrzoną w urzędową pieczęć z orłem pruskim, stwierdzającą, że ma prawo swobodnego poruszania się po całem terytorium Rzeszy. Tego stary żandarm, ktory zapewne służył już i Wilhelmowi i republice weimarskiej, nie był w stanie w żaden sposob zrozumieć. Wolał w milczeniu zniknąc w ciemnosciach.

Na samochodzie miałem aparat radiowy, którym mogłem podczas jazdy chwytać wszelkie stacje europejskie. Włączam aparat. Stacje zagraniczne nadają poważną muzykę, niemieckie - walczyki i melodje z operetek. Wtem słodkie dźwięki walczyka Lehara przerwał donośny głos: "Sondermeldung, Sondermeldung. Otrzymujemy wiadomosc z Moskwy o ratyfikacji paktu niemiecko-sowieckiego dzis popołudniu". Poczem znow walczyk Lehara. A więc, myslę sobie, prawdopodobnie to już dzisiejszej nocy. Nie minęło dwadziescia minut, znów Sondermeldung: "Przed chwilą bandy polskie, wspomagane przez przebranych żołnierzy regularnego wojska polskiego, wdarły się do gmachu radiostacji pod Wrocławiem, opanowały stację i nadały odezwę przeciw-niemiecką; po krotkiej walce stacja została odbita; są zabici i ranni". A więc to już napewno dzis w nocy. Nie warto nadal słuchac radia, za chwilę będą marsze wojskowe. I nie pomyliłem się.

Dojeżdżamy do Berlina. Na Alexanderplatz grupki ludzi z nadzwyczajnymi dodatkami w ręku. Kupuję dodatek i czytam: Rząd polski odrzucił propozycję niemiecką wszczęcia rozmow na temat pokojowego załatwienia sporu polsko-niemieckiego; odpowiedzialnośc za dalszy bieg wypadków spada zatem wyłącznie na rząd polski; Fuhrer proponował załatwienie sporu z Polską na podstawie poniższych 16 punktów. Następują punkty, o ktorych słyszę po raz pierwszy. Rownież ambasador polski w Berlinie nigdy propozycji, zawierającej te punkty nie otrzymał.

Nie było to pozbawione pewnej smutnej pikanterji, że ja, który własnie wiozłem szczegołowe instrukcje rządu polskiego, wyrażające zgodę na rozmowy z rządem niemieckim, dowiadywałem się z dodatku nadzwyczajnego, sprzedawanego na ulicach Berlina, że rząd polski odmowił wzięcie udziału w rozmowach, mających na celu szukanie pokojowego załatwienia sporu polsko-niemieckiego.

Zajechaliśmy wprost do ambasady. Pierwsze moje pytanie było, czy instrukcja iskrowa z Warszawy doszła. Doszła i została wykonana. Ambasador zwrocił się do Auswartiges Amt o przyjęcie go przez ministra spraw zagranicznych Rzeszy. Spotkanie wyznanzono na godz. 6 wieczorem. Rozmowa była krotka. Ribbentrop zapytał na wstępie ambasadora czy przybywa jako specjalnie upoważniony delegat rządu polskiego z prawem podpisu. Otrzymał odpowiedź, że przybywa jako ambasador pełnomocny, będący stałym przedstawicielem Rzeczypospolitej w Berlinie celem zakomunikowania rządowi niemieckiemu zgody rządu polskiego na wszczęcie rokowań. Na co Ribbentrop odparł, że zamelduje o tem Fuhrerowi, sądzi jednak, że to nie wystarcza. Na tem rozmowa się zakonczyła. Minister spraw zagranicznych Rzeszy więcej się tego wieczoru nie odezwał. Widocznie uważał, że wystarczą dodatki nadzwyczajne.

Jeszcze jeden moment charakterystyczny. Gdy ambasador polski wchodził do gabinetu Ribbentropa, w poczekalni, przez którą przechodził, było zebranych wielu fotografów. Był też operator filmowy. Gdy ambasador wychodził po rozmowie, poczekalnia była pusta. Skoro bowiem Niemcy przekonali się, że to nie żaden Hacha przyszedł dla przyjęcia dyktatu kapitulacji, lecz przedstawiciel Polski z instrukcją rozmawiania w dobrej wierze, jako równy z równym, kazali fotografom odejść. Nie było czego filmować.

Po północy, wróciliśmy do naszego mieszkania na Keithstrasse. W kilka godzin później spadły pierwsze bomby na ziemię polską. W pożarach, które się rozpętały, spłonął zapewne na lotnisku w Ławicy również bezbronny RWD, który w misji pokoju tylko co odbył swój ostatni lot z Warszawy do Poznania.

STEFAN STARZYŃSKI

Prezydent Miasta Warszawy Stefan Starzyński musiał powziąć w pamiętnym wrześniu 1939 roku dwie ciężkie decyzje. Pierwsza - to postanowienie obrony Warszawy w chwili, gdy najwyższe czynniki państwowe ją opuszczały. Druga - to poddanie Warszawy Niemcom, gdy kupy rumowisk, głód, brak wody i wystrzelenie ostatnich naboi przez polską artylerię uniemożliwiły już zupełnie wszelką dalszą obronę. Decyzja pierwsza - heroiczna, decyzja druga - tragiczna. Zawarły one początkiem i końcem okres kilkunastodniowy, który przeszedł do historii Polski wraz ze Stefanem Starzyńskim, jako jeden z najwspanialszych dowodów żywotności naszego narodu.

Widywałem Stefana Starzyńskiego w tym okresie co wieczór. Przychodził codziennie, by ludności dodawać ducha, do gmachu radiostacji warszawskiej - sławnej Warszawy II - przy ulicy Zielnej 25. W mundurze majora, blady ze zmęczenia, ale rozpromieniony energią i wiarą. Siadał przy mikrofonie i grzmiał:

- Pilnować czystości w mieście. Usuwać gruzy i skorupy rozbitych szyb. Musimy być wzorem systematyczności, mimo tych ciężkich warunków. Wasze niedoczekanie panowie Niemcy! Nie liczcie na nasze załamanie! -

Po każdym jego przemówieniu grzmiały dźwięki "Warszawianki". Potem wiedzieliśmy, że do piwnic, schronów, w okopy, między pola minowe, gdziekolwiek tylko ostał się jeszcze głośnik przenikały wraz ze słowami Starzyńskiego promienie nadziei, iskierki wiary. Starzyński był wszystkim. Jeździł po bombardowanym z samolotów i z dział mieście w otwartym aucie. Osobiście pomagał gasić pożar elektrowni. Zawstydzał wystraszonych dozorców, gdy sam chwytał do ręki łopatę, by usunąć rumowisko zwalonego muru. Zatrzymywał się przed ogonkami kobiet, czekających na chleb - rozmawiał i pocieszał. Dziś przez radio wzywał do płacenia podatków natychmiast, bo Zarząd Miasta potrzebuje pieniędzy. Jutro już przed ogonkami kas miejskich cisnęli się ludzie i płacili nie tylko świadczenia zaległe, ale i zaliczki na podatki przyszłe. Przysiadał taki na ulicy za poświstem szrapnelu, przedygotał pół godziny gdzieś w bramie, czasami oberwał odpryskami tynku po łbie, spocił się ze strachu, ale docierał ze swojem banknotów do kasy podatkowej, żeby swoje pieniądze wpłacić. Bo Starzyński kazał, bo Starzyński potrzebuje złotówek, aby ocalić Warszawę.

Widziałem go też w pamiętną sobotę, przed kapitulacją stolicy na konferencji prasowej w gmachu Teatru Wielkiego, gdzie mieściły się biura informacyjne. Twarz z bladej, była już zupełnie szara. Przybył w towarzystwie gen. Tokarzewskiego, który świeżo przedarł się ze swą dywizją do Warszawy. Konferencja zaczęła się snuciem pewnych nadziei. W trakcie jej zaniemówiły telefony i zgasło światło. Siedzący obok mnie Mieczysław Niedziałkowski rzucił: "To koniec", Starzyński te słowa podchwycił i odpowiedział: "Niemniej trzeba próbować trwać do końca".

W dwa dni po kapitulacji, już po cywilnemu objeżdżał miasto, oglądał szkody i - i przygotowywał plan odbudowy stolicy. Dopiero niemiecki obóz koncentracyjny oderwał ostatecznie Stefana Starzyńskiego od stolicy Polski i jej mieszkańców. Bo nie wolno zapominać, że Starzyński był duszą obrony Warszawy tylko dlatego, iż w jej murach nie było ani jednego człowieka, któryby ukochanego miasta nie chciał bronić do ostatka. Nie wiemy czy Starzyński żyje. Warszawa jego i nasza trwa, jak trwa opór niezłamanego niczym narodu.

J. Winiewicz